

Hołizm, czyli powiązanie medycyny z pomocą społeczną

24 grudnia 2019

Moje kłopoty zaczynają się już w momencie ustalania definicji: kto jest, a kto nie jest społecznikiem. Szukam więc człowieka umiającego mi pomóc przejść przez obecny, niegustowny gust i zrozumieć, dlaczego tak zawzięcie nie rozumiem ludzi pozbawionych empatii.

Tu zastrzeżenie: nie pragnę kuśtykać po relatywnych przypuszczeniach i akademickich roztrząsaniach, co jest, a co nie jest prospołecznym działaniem. Dla mnie społecznik to człowiek pomagający dobrowolnie i bezinteresownie, a jego wrażliwość nie zależy od światopoglądu. I takie założenia mi odpowiadają, gdyż od zawsze miałem ochotę na jednoznaczne kryteria.

Ważne jest odpowiedzenie sobie na pytanie o długofalowy i konsekwentny cel pomocy bliźniemu: co stanowi główny motyw działania, co decyduje, że trzeba pomagać?

Jeżeli bezwarunkowa miłość do drugiego człowieka, to jestem na właściwej drodze.

* * *

Ośmieszana praca społeczna, krzywdząco utożsamiana z komunistycznymi zrywami ku czci, ma korzenie osadzone w zamierzchłości. Tak dawnej i zapomnianej, jak dziwaczne pojęcia logiki czy miłosierdzia.

Ludźmi pracującymi społecznie byli, między innymi, Janusz Korczak, Kazimiera Iłłakowiczówna, Piotr Skarga, Stanisław Staszic, Wacław Nałkowski, Maria Dąbrowska. To nieliczne wzory zanikających postaw.

Organizacje dobroczynne od dawna istnieją na całym świecie.

Podstawowym warunkiem przyjęcia do nich, jest zaznajomienie kandydata z kodeksem etycznego postępowania. Zapoznanie go ze spoczywającymi na nim obowiązkami wobec osoby wymagającej pomocy. Wpojenie mu zasad lojalności, punktualności, dotrzymywania obietnic.

* * *

Nieprzypadkowo wspomniałem o dawniejszych społecznikach. Wbrew obecnym czasom, czasem wytężonego merkantylnizmu, obłądy i znieczulicy, również i teraz istnieją ludzie myślący sercem. Ludzie tej miary, co Janina Ochojska, Anna Dymna czy Ewa Błaszczuk, inspiratorzy pomocowych fundacji postępujący wobec innych w sposób bezinteresowny: łączą się z nimi pokrewieństwem dusz i dzielą tym, co mają.

Do nich dołącza Jerzy Owsiak, człowiek unikatowego formatu, mający wybitne umiejętności jednania ludzi, grupowania ich wokół wspólnego celu, zarażania ich własnym entuzjazmem, a jednocześnie – człowiek z tych samych powodów szykanowany i budzący zawiść wśród organizacyjnych nieudaczników.

A w trop za nim pojawiają się setki wolontariuszy, mrowie postaci dostrzegających w swoim działaniu dalekowzroczny sens.

* * *

Jak jest z pomocą na froncie ogólnym, w piekle szarej, małomiasteczkowej codzienności?

Na ten temat wypowiada się tak wielu uzdrowicieli i każdy z nich przedstawia swój rewelacyjny punkt widzenia, że już przez gadkę o tym, co należy zrobić, uważa się problem pomocy za dostatecznie rozwiązany i wystarczająco zamknięty.

Tymczasem prawda jest taka, że zadowolono się umieszczeniem go w odległym kącie ludzkich potrzeb. Odłożono mu istnienie na później: nie dość, że ów „problem z pomocą” sfatygował się, zbanalniał i wyświechtał w trakcie długoletnich jałowych

pogwarek, to rozrósł się do granic absurdu: zredukowany do pustostownego wyrażenia współczucia, zagłaskany został jałowymi debatami.

Nic takiego, że owa senna debata toczyła się przy chrapiącym udziale kilku posłów i wymownej nieobecności członków rządu. Nic takiego, że nikogo z klubu PiS nie było na Sali Cyrkowej. Ważne było tylko to, że następny pałacy temat przeszedł bez echa i można obwołać go kolejnym sukcesem.

* * *

Opieka nad ludźmi o zmniejszonych szansach i możliwościach przestała oznaczać cokolwiek. Cokolwiek związanego ze wsłuchaniem się we wnętrze drugiego człowieka. Słowo opieka stało się wyrazem fikcyjnej szlachetności. Falsyfikatem empatii. Szczególnie dla wyznaczonego biuralisty od publicznego ubolewania. Dla państwowego urzędnika nazywanego Rzecznikiem Pacjenta: sparaliżowany ograniczającymi go zarządzeniami, ustawami, przepisami zastępującym sumienie, rozkłada przed kamerami ręce w bezradnym geście zatytułowanym CO MY MOŻEMY? Powołuje się na odgórne wytyczne i rozporządzenia i choć wie, że niekiedy są sprzeczne z logiką, kluczy wokół nich i broni je do upadłego.

Sucha instrukcja poczęła decydować o rozmiarach i skuteczności opiekuńczych działań, a jednocześnie stała się doskonałą wymówką dla ich zaniechania. Usprawiedliwieniem bezsilności Rzecznika: chciałby, by było naturalnie, lecz nie skoczy wyżej nerek, gdyż przeszkadzają mu paragrafy.

* * *

Sprawy związane z pomocą rozwiązywać można na dwa sposoby. Pierwszy, płaczliwy, przypominający rozmowę niewidomych uprawianą na migi, stosowany jest od wielu lat. To gazetowe alarmy o administracyjnej niegodziwości. O powszechnej znieczulicy typu nikt nic nie widział, a wszyscy są zaskoczeni. To teksty powtarzające znane i wielokrotnie

opisywane przestrogi – wydarzenia. To w znacznych intencjach pisane ostrzegawcze teksty, elaboraty, reportaże wysmarowane ku pokrzepieniu serc, ocierające się o Pulitzera.

Sposób ten przynosi rezultaty chwilowe na teraz i marne na przyszłość. Jest dorywczym łataniem dziur. Spóźnionym heroizmem strażaka budującego studnię na pogorzelisku.

Interwencja doraźna, klasyczna, to kolejne pustosłowie. Rzewna opowiastka o tym, jak to dzielni urzędnicy poczępali po rozum do głowy i podjęli mądrą decyzję ofiarowując nieszczęśnikowi X, zamieszkałemu na trzecim piętrze drapacza niskich chmur mieszkanie na parterze.

Czy przykład zadowolonego Pana X daje powody do satysfakcji? Nie. Co prawda pan X wreszcie mieszka na parterze i już może wyjeżdżać wózkiem, lecz jedzie w te podróże w nastroju cokolwiek minorowym. Dlaczego? Bo tuż za rogiem jego ulicy znajduje się Pewien Ważny Urząd zaopatrzony w pomysłowe przeszkadzajki.

Nie może się do niego dostać, więc rezygnuje i przemieszcza się w stronę apteki. W zasadzie nie tyle do apteki wiośluje, ile pod jej drzwi, gdyż w ramach pochylania się nad człowiekiem, ułożono wysokie krawężniki oraz eleganckie schodki dla samobójców.

Rezultaty owej pomocy są kompromitujące i niepełne, ponieważ w identycznym wieżowcu bez windy, ale na drugim piętrze, mieszka Pan Y borykający się z taką samą durnotą. Siedzi w domu i złorzeczy pod adresem urzędników. Nie pojmuje, dlaczego nie rozstrzygnęli jego problemu łącznie ze sprawą Pana X. Dlaczego nie zaproponowali mu dogodnego mieszkania w innym domu.

Jest bezradny, gdyż nie może wyjechać ze swojej klatki. Nie ma go kto znieść razem z rozklekotanym wózkiem po krętych schodach. A jeżeli już zdarzy się cud i znajdzie się na ulicy, to nie ma dokąd się udać. Myślę tu o dostępie do teatru, filharmonii czy biblioteki.

* * *

Biurokraci lubią poczytać sobie o cudzych nieszczęściach. Między podwieczorkiem a pójściem do pracy, zagłębiają się w lekturze gazet. Żurnalistyczne bitwy o społeczną sprawiedliwość, to wesołe historyjki przeznaczone dla bezdusznych i zadurzonych w sobie. Czyli nie dla nich.

Skargi, psioczenia, ewidentne narzekactwo dotyczy jakichś pozostałych, odrealnionych ludzi. Człowieków, z którymi się nie utożsamiają, na których są oburzeni. Wściekają się, że poruszane w artykułach problemy nie są rozwiązywane w całości, tylko częściowo. Niepotrzebnie, bo zapominają, że sami pozwolili swoim sejmowym wybrancom na skonstruowanie takich przepisów.

Gdy się nad nimi zastanowić, życie zmienia się w koszmar, ponieważ zadaję sobie pytanie: a ilu jest Panów Y znajdujących się w podobnej sytuacji? Ilu w skali miasta, dzielnicy, obok mojego nosa? Co o nich wiem? Jak żyją na co dzień?

Pomóc obu panom, oczywiście, trzeba. Bariery znosić, rzecz jasna, należy. Lecz pomoc należy skutecznie. A skutecznie, to znaczy – systemowo.

Przy likwidacji zaniedbań powinna być zachowana kolejność. Trzeba łamać nie te, które się znosi na pierwszy ogień [schody bez cienia poręczy, windy tak mikroskopijne, że mogą służyć do przewozu roztoczy, krawężniki do pokonywania o tyczce, podjazdy zbyt strome z powodu oszczędności na betonie], ale te zwłaszcza, które uniemożliwiają kompleksowe rozwiązywanie trudności sprawnych inaczej.

I tu dochodzimy do właściwego sposobu: metoda numer dwa polega na zlikwidowaniu wszystkich.

* * *

Czy nie pobrzmiewa to, jak muzyka przyszłości? Muzyka nieuchronnie oczekująca nas już teraz, oczywiście pod

warunkiem, że naprawdę CHCEMY naprawić obie te organizacje. Bo zaczynamy odczuwać (nieraz boleśnie), iż pomiędzy nimi brakuje powiązania, wspólnego działania.

W tym miejscu należałoby sprecyzować, co kryje się pod określeniem: POMOC WSZECHSTRONNA. Najkrócej i najwłaściwiej można powiedzieć, że jest to pomoc socjalna sprzężona ze służbą medyczną. POŁĄCZONA i WSPÓŁZALEŻNA. ODCZUWALNA tylko dla tych, co jej potrzebują. A więc inna od obecnej: przypadkowej i rozrzutnej, bo bezplanowej.

Autorstwo: Marek Jastrząb

Źródło: StudioOpinii.pl